

KSIĘGA DŻUNGLI



RUDYARD KIPLING

Przedmowa

Zazwyczaj, gdy się pojawia książka tego rodzaju, specjaliści zasypują autora nader hojnie pytaniami, skąd czerpał materiał. Toteż na wstępie czynię zadość ich ciekawości i śpieszę z wyjaśnieniem oraz podziękowaniem dla mych łaskawych informatorów.

W pierwszej linii poczuwam się do gorącej wdzięczności wobec czci-godnego, uczonego i zasłużonego Bahadur Szacha, słonia jucznego Rządu Indyjskiego, zarejestrowanego w spisie pod liczbą 174, który wraz z uroczą swą towarzyszką, genialną Pudmini, dostarczył mi mnóstwo nieocenionych szczegółów do ustępu pt. Tumaj, przyjaciel słoni. Szczegóły owe weszły także do opowieści pt. W służbie królowej.

Opowieść pt. Bracia małego Maul powstała na podstawie danych zebranych w różnych czasach i miejscach, otrzymanych od mnóstwa cnych P. T. informatorów, którzy pragną zachować jak najściślejsze incognito.

W tym miejscu winien jeszcze autor wyrazić hołd swój pewnemu hinduskiemu dżentelmenowi, którego rezydencja mieści się na stromych lesistych szczytach gór Jakko. Śpieszę tedy wyrazić mu swą, uszczypliwą może nieco, estymę, wymownie kreśląc podziwu godne cechy charakterystyczne jego rasy, zaprawdę bardzo starej, którą nazwałbym — prezbiteriańską.

Ogromnie dużo zawdzięczam również mędrcom — Sachi — owemu niezmordowanemu w badaniach i przemyślnemu jeżozwierzowi, członkowi rozproszonego niedawno szczepu ludów seeoneeńskich. Ten dzielny artysta, który węszył wszędzie i wycierał wszystkie kąty, zaznajomił mnie z wieloma lokalnymi sprawami południowych Indii. Wraz ze swym mistrzem zwiedzał on wielką połąć kraju, pociągnięty urokiem, pięknnością i rodzinną kulturą wielu wiosek i osiedli i odeń to otrzymałem mnóstwo ważnych wiadomości odnośnie do ludowych zwyczajów i obyczajów.

Dużo z nich weszło do opowiadania pt. *Na Tygrysa, Łowy węża Kaa* oraz *Bracia małego Mauli*.

Odnośnie do ustępu Riki-tiki-tavi autor oświadcza, że wszystko winien jest uprzejmości jednego z najwybitniejszych herpetologów Górnych Indii, nieustraszonemu badaczowi, którego hasłem jest „żyć to wiedzieć”. Ów nieśmiertelnej sławy, samoistny mędrzec poświęcał nieraz swe życie, kierując się tą maksymą przy badaniu naszych wschodnich tenatofidii („jadowitych”).

Szczęśliwy przypadek w podróży sprawił również, że autor, jadąc statkiem „Cesarzowa Indii”, miał za współpasażera pewnego maleńkiego informatora. Ile wziął odeń nieocenionych szczegółów, sam czytelnik osądzi zechce, przeglądając opowiadanie pt. *Biała foka*.

Bracia małego Mauli

Noc nadchodzi, to pora łupów sępa Chila
I nietoperza Manga, i innego zwierza.
Ludy dżungli bój złączą lub wznowią przymierza,
Bo nadszedł czas turnieju, wielka łowów chwila.
Walczyć dzielnie, o ludy, póki dzień nie wstawa,
Szanując jednak wiernie stare dżungli prawa.

(Nocna pobudka ostępu)

Skwarny to był wieczór, kiedy około siódmej przebudził się wilk-ojciec, śpiący dotąd w jaskini na płaskowzgórzu Seeonee położonej i zaczął przeciągać powoli, z namysłem łapy, chcąc wygnać rozleniwienie sennie i przywrócić gibkość kończynom. Matka-wilczyca leżała z nosem utkwionym w czeredę czworga wilcząt, które ruszały się niespokojnie, piszcząc. Przez otwór wejściowy jamy zaglądała pyzata twarz miesiąca.

— Uu! — mruknął wilk — Czas na polowanie!

Właśnie chciał ruszyć na łowy, gdy nagle w wejściu zjawił się cień jakowegoś małego stworzenia o puszystym ogonie i zaskowyczał głos:

— Szczęśliw bądź zawsze, o wielki wodzu wilków! Niech ci się darzą dziatki, niech mają ogromne białe kły i niech w sercu swym nie zapomną nigdy o nieszczęsnym głodomorze!

Głos ten wydawał szakal, zwany Tabaki-pieczeniarz. Marną ową stworzą gardzą zazwyczaj wilki dżungli Hindostanu, bowiem jest to natrętny gałgan, wywołuje intrygi, plotkuje, wadzi jedne rody zwierząt z innymi, a przy tym żywi się wstrętnymi odpadkami po śmietnikach wiejskich, pożerając nawet szmaty i kawałki rzemieni. Jednocześnie zwierzęta obawiają się szakala-pieczeniarza, popada on bowiem łatwo we wściekliznę, a w takim razie porzuca wrodzoną tchórzliwość, biega po całym lesie i kąsa każde stworzenie, jakie dosięgnąć może. Staje się tak straszny, że sam nawet tygrys zmyka przed nim, wścieklizna bowiem to największa hańba, jaka spaść może na zwierzę dżungli. Zwą ją one — devanee, czyli szaleństwem i chronią się przed owym złem na wszelkie sposoby.

— Wejdz i poszukaj! — odparł oschle wilk-ojciec — Chociaż, o ile wiem, nie ma tutaj żadnego pożywienia.

— Naturalnie! — rzekł przypochlebnie Tabaki — Nie ma może jadła godnego wilka, ale mizerota jak ja, zadowoli się byle jaką kosteczką! Czyliż nam — gidurlogom (ludowi szakali) — wolno przebierać i w pożywieniu?

Zaczął węszyć i niebawem wygrzebał gdzieś w kącie sarnią kostkę z odrobiną mięsa. Przykucnął i zaczął smacznie zajadać.

— Bardzo dziękuję za tak gościnny poczęstunek! — zawołał mlaszcząc językiem — Ach! Co za uroczy młodzieńcy! — dodał, patrząc na młode wilczki — Jakże bystre mają oczy i to w tak młodym wieku! Hm... hm... prawda... dzieci władcy dorastają bardzo prędko!

Tabaki wiedział dobrze, że nie należy chwalić dzieci w oczy. Uczynił to jednak, by nasycić się zakłopotaniem wilka i wilczycy. Przez chwilę siedział cicho, rozkoszując się złośliwą uwagą swoją, potem zaś rzekł:

— Wielki Shere Khan przenosi się na inne miejsce. Słyszałem, że od najbliższego nowiu zacznie tutaj polować.

Shere Khan, wielki tygrys, mieszkał dotąd nad rzeką Wajgungą, odległą o jakichś dwadzieścia mil.

— Nie wolno mu uczynić tego! — zawarczał wilk gniewnie — Prawa dżungli zabraniają nachodzenia cudzych obszarów łowieckich bez zawiadomienia i pozwolenia właścicieli. Przepłoszy nam zwierzynę w obrębie przynajmniej dziesięciu mil i to jak na złość właśnie teraz, gdy ja muszę polować za dwoje.

— Matka moja — rzekła łagodnie wilczyca — słusznie zwała go „kuter-nogą”... lungri... Od małego utyka na jedną łapę i dlatego poluje tylko na bydło domowe. Musiał pewnie doprowadzić do wściekłości farme-rów znad Wajgungi, ucieka przed nimi i zjawia się, by tutaj uczynić to samo. Oczywiście niebawem przetrząsną w poszukiwaniu za nim całą dżunglę. Zapewne ucieknie, ale mściwi ludzie podpalą trawę i my i dzieci nasze będziemy się musieli również wynosić. To wszystko zawdzię-czać będziemy przekłętemu Shere Khanowi.

— Czy mam mu powiedzieć, jakie dlań żywicie uczucia? — spytał Tabaki.

— Milcz! — szczechnął wilk gwałtownie — Wynoś mi się stąd razem z twym kulawym chlebobawcą! Dość łajdactw i tak narobiłeś dziś!

Tabaki odrzekł spokojnie:

— Idę. Mogłem, co prawda, oszczędzić sobie przynoszenia wam wieści, bo oto, jak sami słyszycie, zapewne Shere Khan przybył osobiście i siedzi w pobliskich zaroślach.